

**DZUS &
DZIN**

MAGDA SKUBISZ

**DZUS &
DZIN**

Prószyński i S-ka

Copyright © Magdalena Skubisz, 2009

Projekt okładki
Sylwia Tymkiewicz

Zdjęcie na okładce
Aniela Kupiecka i Wojciech Sadlej

Redakcja
Jan Koźbiel

Korekta
Ewa Nyk-Głowacka

Łamanie
Małgorzata Wnuk

ISBN 978-83-7648-122-7

Warszawa 2009

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Garażowa 7, 02-651 Warszawa
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Wydawnicza im. W.L. Anczyca SA
ul. Wrocławska 53, 30-011 Kraków

Dla Barbarzyńcy

Najszczerze podziękowania:

Marzenie Gargas – za to, że uratowała tę książkę;

Dorocie „Muzie” Kosteleckiej – za wsparcie, konstruktywną krytykę i niezawodny instynkt redaktorski;

Pawłowi Kogutowi – za przyjaźń, inspirację, wymądrzanie się i śliwovicę;

Rodzinie – za mężne znoszenie przeciwności losu w postaci mieszkania pod jednym dachem z autorką.

Za pomoc dziękuję również:

ekspertowi celnemu, panu Tomaszowi Knotowi;

funkcjonariuszom policji – nadkom. Wojciechowi Błońskiemu i kom. Mariuszowi Rabce;

tłumaczom – Tatianie Gumulec, Ludomirowi Lewkowiczowi i Józefowi Olechowi;

żołnierzom WP – kpt. Zygmuntowi Mahunikowi,

chor. Stanisławowi Fryzełowi i sierż. Wacławowi Januszkiewiczowi.

Powieść nie powstałaby również bez pomocy mecenasa

Roberta Brulińskiego, który wykazał się ogromną cierpliwością

w odpowiadaniu na głupie pytania, oraz (reagującego równie wyrozumiale) najprawdziwszego patomorfologa,

doktora Witolda Pydzińskiego, który znacząco wzbogacił wizerunek jednego z bohaterów tej książki.

Arturowi Bobrowiczowi dziękuję za łaskawą śmierć,

Jurkowi Sołtysowi zaś za rzetelną i fachową korektę

w niesprzyjających okolicznościach przyrody...

(...)

*Chwile świetności ma już za sobą
obdarte domy, krzywe ulice
Stalin granicę przypchał tuż obok
stąd przemytnicy i przemytnice*

*Młyny, fabryki dawno zamknięto
wszak kwitnie bazar tętniący życiem
Co roku nowe dodają święto
huczne, bo kończy się mordobiciem*

*Młodzież to miasto opuszcza tłumnie
patriotyzmem widać nie grzeszy
Spytasz, ty skąd – odpowie dumnie:
nawet buraka swój korzeń cieszy*

Józef Olech, „Pod ścianą”

Wszelkie postacie i wydarzenia opisane w powieści
są fikcyjne, a ich ewentualne podobieństwo
do rzeczywistych jest całkowicie przypadkowe.

Padalo i padalo. Był jeden z tych dni, kiedy globalne ocieplenie wydaje się pobożnym życzeniem klimatologów mitomanów. Niebo rzucało po mieście mokrymi skrzepami śniegu, wiał pracowicie wiaterek, a ostrożny chrzest zimowych butów przechodniów krasiały przekleństwa.

Kasia dotarła krokiem gejszy do wycieraczki klubu Pod Łosiem i dysząc, wczepiła się kurczowo w klamkę. Parę wywrotek w dwunastocentymetrowych szpilkach bez utraty obcasów (chińskich!), na obitych kolanach kusząco podarte rajstopy i smolisty, rozmazany śniegiem makijaż upodobniły ją do ofiar przemocy domowej lub diabolicznych bohaterek filmów Tima Burtona. Duma rozděła jej wątle ego.

Kaszląc i mrugając, wkuśtykała do środka; szpilki na śliskiej podłodze wykazały natychmiastową inklinację do rozjechania się w przeciwnych kierunkach. Chwyliła za poręcz, zataczając się paskudnie, tak jak robiła to już w tym miejscu mnóstwo razy, jednak nigdy jeszcze z wynikiem 00.00 na skali wewnętrznego alkomatu.

– Cześć, Ryba! – odezwał się barman o wyglądzie troglodyty. Na imię miał Szymon, ale większość znajomych nazywała go ABS-em, bo trenował na siłowni, a jego budowa anatomiczna powoli nabierała cech absolutnego braku szyi. – Ale wyglądasz. Ktoś cię zgwałcił?

– Matka Natura – odparła zgodnie z prawdą i bardzo ostrożnie zrobiła krok do przodu. Resztki śniegu złośliwie błysnęły spod obcasa.

– Nie wyglebałaś się przypadkiem w tych wykałaczkach? – zaciekawił się, zerkając na obdarte kolana.

– Cztery razy.

– Może małe co nieco?

– Poproszę.

Ostrożnie wydlubała paznokciem z rany okruch kociego żwirku. Zużytego, sądząc po zapachu. Swoją drogą fascynujące, czym też sąsiedzi potrafią posypać śliski chodnik.

– Trzeba było założyć sobie raki – poradził Szymo troskliwie.

Sprawnie napełnił szklanę.

Ryba otrząsnęła się z wizji romantycznego tête-à-tête z Haskalem, na które wkracza odziana w małą czarną i raki; ugięła kolano i oparła dolną kończynę na barowym krześle. Najpierw uleczyła ciało, dokładnie oblewając wódką poźwirkową ranę, a potem – wychodząc z założenia, że duszy też się coś należy – wychleptała resztę.

– A do picia co? – wykazał życzliwe zainteresowanie barman.

– Browar, pryta, turboptyś czy seta z gaśnicą?

Energicznie przekartkowała ofertę drinków.

– Do picia poproszę browar... Albo nie. Plebejski jest... Daj mi jakiegoś babskiego turboptysia, tylko mało mdlącego.

– Krwawą Mary?

Ryba parsknęła śmiechem.

– Pod warunkiem, że nie dodasz pomidorówki w proszku... Albo przynajmniej ściągniesz z wierzchu makaron.

– Okej, okej, sok mi się wtedy skończył... To co chcesz? Maczugę Herkulesa?

– O ile się nie mylę, Oremus wymiotował tym w zeszłym tygodniu.

– Fakt. Do dzisiaj nie mogę doprać firanek. To może szarlotkę? Żubrówka z sokiem jabłkowym i cytryną...

Popatrzyła na niego nieufnie.

– Może być. Tylko bez soku i bez cytryny, okej? I walnij do tego jakąś parasolkę, żeby elegancko wyglądało.

Barman westchnął i falując mięśniami, zaczął rozrywać opakowanie parasolek, zezując co chwila na Kasine nogi, które apetycznie wychylały się spod poły utyłanego płaszcza.

Ryba zapaliła LM-a i spojrzała na zegarek.

Za piętnaście szósta.

Ciekawe, czy Haskal zjawi się punktualnie.

Ten facet był jak nałóg – brzydki, niezdrowy i groził zawałem.

Najpierw zakochiwała się w nim z lekcji na lekcję (w końcu etykę, której uczył, od erotyki dzieli tylko jedna sylaba), potem zmoolestowała go na półmetku, dostając w efekcie przykrego kosza, aż w końcu po wielu perypetiach, włączając w to okrutnie samotny tydzień ferii, obiekt uczuć zadzwonił i zaprosił ją na randkę.

Bo cóż to było innego, jak nie randka?

Miał łzawy, wzruszony głos, łaknący kobiety. Kasia czuła to przez skórę.

Szymo wydał jakiś dźwięk i Ryba podskoczyła. Ułożony w głowie scenariusz, zgodnie z którym Haskal miałby uklęknąć na progu, a następnie, złościąc kolanami pośniegowe błoto, zaśpiewać głosem Grzegorza Markowskiego: „Kochaj mnie, nieprzytomnie... jak zapalniczka płomień, jak sucha studnia wodę...”, rozsypał się błyskawicznie, pozostawiając przykre uczucie marzycielskiego niedosytu.

Skupiła wzrok na łysej czaszce barmana.

– Coś mówileś?

– Pytałem, czy zanieść ci żubrówkę do stolika...

– Zanieść.

– Tam, gdzie siedzi Waleń?

Ryba zbyt gwałtownie wciągnęła dym i zaczęła kaszleć.

– To on tu jest!?

– No. Waleń... Michelin... nno, ten gruby... – zająknął się, widząc rozdrażnienie na twarzy klientki. – Przyszedł tak chwilę przed tobą. Postawiłem mu fotel za kotarą. Musiałem. Wszystkie krzesła mi rozchybotał.

Kasia poderwała się na równe nogi.

– Szymo, jełopie jeden, dlaczego dopiero teraz mówisz...?!

W panicznym pośpiechu wyciągnęła lusterko.

Potrójna warstwa błyszczyku częściowo się rozmaszała, a w prawym oku z pękniętą żyłką pływały grudki tuszu. Ogólnie, jak na kobietę czterokrotnie upadłą, było niezłe.

Zrzuciła okrycie, obciągnęła mini poniżej wzdórka łonowego i kołysząc łagodnie biodrami, piersiami, talią i brudnym brezentowym płaszczem, przewieszonym przez zgięcie łokcia, weszła za kotarę.

Na stoliku stało niedopite martini; stopka kieliszka rysowała mokre kółko na okładce czarno-białej mądrej gazety. W powietrzu unosił się zapach kurzu i vanisha, którym Szymo w przerwach między dopijaniem drinków po klientach zapewne czyścił obwomitowane firanki.

Haskal siedział w wytartym fotelu, zwrócony tyłem do wejścia, i obdzierał kłaczki liniejącego zamszu z oparcia. Niezgrabny, groteskowy, z brzuchem wydymającym pożółkłą koszulę w kropki i wciśnięty na wierzch wełniany bezrękawnik, rozpierał swą nadprzyrodzoną postacią lichy mebel. Wzrok Kasi powędrował w dół i zatrzymał się z czułością na pogniocionych sztruksach, spod których wystawały obciachowe kowbojki z łańcuszkami; prawa miała łańcuszek zardzewiały, lewa – urwany.

Haskal odwrócił nagle głowę. Znieruchomiał.

Zerwał się w pośpiechu; spodnie zatrzeszczały ostrzegawczo i profesor zredukował tempo. Wyprostował się z powolną godnością.

– Katarzyno – powiedział, chrypiąc. Nachylił się i pocałował jej dłoń, w ostatniej chwili unikając poparzenia papierosem. – Może byś to zgasiła? – zaproponował nieśmiało, a wobec braku reakcji zgrabnym pstryczkiem posłał szczątki LM-a na podłogę i rozgniółł głupekowato brzdękającą kowbojką.

Kasia odzyskała głos.

– Przepraszam, zagapiłam się – wyjąkała. Czuła suchość w ustach, serce kołatało jak przy arytmii. Uznała, że natychmiast musi się napić, bo inaczej zrobi coś głupiego, na przykład spruje mu bezrękawnik zębami, odgryzie guziki, a potem zacznie nimi spluwać szerokim łukiem do popielniczki...

W samą porę kotara się odchyliła, ukazując Szyma z chwiejącą się na tacy zubrówką. W ozdobnej szklaneczce pływały trzy parasolki, w tym jedna dziurawa.

Haskal zrobił krok do tyłu. Jego spojrzenie przemknęło po Rybie, zatrzymując się kolejno na spuchniętych kolanach, zażawionej, czerwonej spojówce i rękach wyrwijających się w kierunku tacy.

– Co ci się stało w oko?

– To nie tak, jak pan myśli... – uprzedziła jego oskarżenie. – Ja wcale nie jestem pijana, tylko przewróciłam się, jak tu szłam w tych butach.

– Czy ja coś mówię? – Mimo oschłego tonu oczy miał smutne jak bernardyn. – To było kurtuazyjne zapytanie.

– Wiem, ale... – podeszła bliżej (oczywiście musiała się zachwiać w tych cholernych szpilkach) – muszę panu powiedzieć, że kiedy się przewróciłam, to wbiłam sobie w kolano taki koci źwirek i potem polałam wódką, żeby odkazić, rozumie pan... a w międzyczasie jeszcze się rozmazałam i dlatego mam takie przepite oko, ale tylko jedno, przecież pan widzi...

Podszedł, wziął ją lekko za ramiona i posadził na krześle.

– Kasiu – powiedział szemrzącym barytonem (zawsze wymiękała od tego „Kasiu”) – wystarczy... Nie tłumacz się jak kretyńka...

Zapadło milczenie.

– Jesteś dorosła... Robisz, co chcesz, i ja nie mam nic do tego...

Dworskim gestem podał jej zubrówkę. Stuknął w szklaneczkę swoim kieliszkiem.

– Zdrowie... Za spotkanie.

Upiła dystygowany łycelek, pożerając chciwym wzrokiem rozmówcę, który na powrót zasiadł w fotelu i podjął znęcanie się nad kłaczkami.

– Jak zajęcia z doktor Prześniak? – spytał z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Super.

– Co omawiacie?

– Najpierw mieliśmy świętego Augustyna, a przed feriami teorię wychowania według siedmiu grzechów głównych.

– A to ciekawe...

– Ogromnie. Najbardziej podobało mi się o nieczystości – powiedziała, polerując szpilki o fotel. – Wie pan, o tym, że onaniści mają depresję i gryzie ich sumienie...

– I ślepną? – odgadł, zabawnie poprawiając okulary.

– He, he... Nie wie pan przypadkiem, dlaczego muszę słuchać takiego szajsu i marnować swój cenny czas?

– Podobno każda wiedza do czegoś się przydaje. Jesteś jeszcze na tyle młoda, że możesz uwierzyć mi na słowo... – Połknął zgrabnie limonkę z kieliszka, nie dławiąc się i nie wybałuszając oczu (jeszcze jedna rzecz, za którą go podziwiała).

– Bardzo dyplomatyczna wypowiedź, ale i tak wolałam poprzedniego wykładowcę. Jak wszyscy.

Zaśmiał się.

– Mówisz o wszystkich siedmiu osobach? Cóż... i tak miło mi to słyszeć.

– Nie ma szans, żeby pan wrócił?

Pokręcił głową.

Przez chwilę myślała, jak w najbardziej zwięzły sposób można skomentować tę skandaliczną sytuację.

– To ja pierdołę taką budę.

Zawartość bezrękawnika podskoczyła, targnięta tłumionym śmiechem. Haskal miał boski rezonator piersiowy, który w takich chwilach dudnił czymś w rodzaju basowego: „hm, hm, hm”.

– Kasiu, na ogół nie pierdoli się czegoś, czego się nie lubi... Przynajmniej nie lubi. A poza tym, nie wydaje mi się, żebyś była aż tak pijana, by wypowiadać się równie plugawo i lapidarnie. Może jakoś rozwinięsz myśl?

Ryba osuszyła szklaneczkę, uważając, żeby nie wykluć sobie oka dziurawą parasolką, i otarła usta przedramieniem, na którym pojawiła się zmysłowo rozmazana smuga błyszczyku.

– Smacznego.

Znów pochwyciła to smutne spojrzenie.

– Dziękuję... Rozwijając myśl, to naprawdę zastanawiam się, co zrobić. Wie pan, jaka jest sytuacja po tym, co zaszło. Nie znoszą mnie, pani Prześniak wygląda, jakby mnie chciała zabić na każdej lekcji, dyktuje notatki, po których jestem chora... Czuję się jak sierota i nieudacznik.

– Pamiętaj, że wszyscy w twoim wieku byli nieudacznikami. Z wyjątkiem Rimbauda.

– He, he... Sam pan to wymyślił?

– Skąd. Plagiat, jak wszystko, co mówię, kiedy chcę zabłysnąć elokwencją. No więc, Katarzyno... dobrze zrozumiałem, że masz kryzys wartości i chcesz rzucić szkołę?

– Tak jakby... Naprawdę to strasznie się tam nudzę.

– Bardzo ci współczuję. Jeżeli wolno spytać, to co chcesz robić po opuszczeniu placówki edukacyjnej? Przemycać spirytus?

Popatrzyła na niego przeciągle.

– Moja rodzina od pokoleń przemycza spirytus i nic się nie stanie, jeśli chlubnie wpiszę się w rodzinną tradycję.

– Rozumiem. – Pokiwał życzliwie głową. – Chlubne kultywowanie tradycji... To miasto ma prawie że słowo „przemyt” w nazwie własnej... ludziom się udziela, nie ma się czemu dziwić... Mimo wszystko spodziewałem się, że mierzysz trochę wyżej niż profesja mrówki rojalówki, czy jak tam zwą te zachuszczone kobieciny...

– Właśnie obraził pan moją zachuszczoną rodzinę bliższą i dalszą i prawie wszystkie znajome moich rodziców...

Haskal spojrział na nią ostrzej.

– Ja ci tylko sugeruję, że poza zachuszczeniem też się można realizować. Ciekawiej, ambitniej... a z pewnością bardziej legalnie.

– Łał... To mi pan dowalił. Zaraz mi pan powie, że jestem przecież taka młoda i zdolna...

– Kasiu, jesteś przecież taka młoda i zdolna...

– ... i mogłabym daleko zajść.

– I mogłabyś daleko zajść, a tak lada dzień twoje postrzeganie świata zdeterminuje średnia cen niemonopolowych alkoholi na koronie stadionu Niedźwiadek...

Zaśmiała się.

Żubrówka zaczęła działać. Ciepło parowało przez skórę, do źrenic wsączała się przyjemna mgiełka. Ryba poczuła się elokwentna, seksowna i nieodparcie pociągająca. Denerwowało ją, że Haskal nie zwraca najmniejszej uwagi na jej nogi.

– Możemy zmienić temat? Zatańczymy? – zaszeleściła tenorem i lycrą w rajstopach, znacząco przesuując dłonią po udzie.

Popatrzył na nią dziwnie.

– Do „Dwunastu aniołków”?

Kasia skłęła w myślach Szyma i jego predylekcję do wsiowych przytupywanek.

– Zaraz to załatwię...

Delikatnie objęła jego wskazujący palec – duży, miękki i do złudzenia przypominający ciepłą parówkę z hot doga.

– Nie trzeba. Nie będę tańczył. – Poglaskała kciukiem grzbiet jej dłoni i włoski na ręce Kasi natychmiast dostały erekcji. – Właściwie to chciałem się z tobą pożegnać.

Ryba wytrzeszczyła oczy, powodując, że tusz wpadł jej głębiej do oka i zaczął niemilosiernie drapać. Zamrugowała konwulsyjnie.

– Oj, nie płacz... – Zabrał palec. – Wiesz przecież, że po tym wszystkim nie mógłbym tu zostać.

– O czym pan mówi? I w ogóle gdzie...? Gdzie pan chce jechać?!

– Do Warszawy. Do pracy. Każdy myśli, że to emigracja zarobkowa, i poniekąd tak jest.

– O Boże...

(O Boże, dlaczego on mi to robi na pierwszej randce????!!!).

– Na razie tylko na okres próbny, ale jeżeli warunki będą w porządku, zostaną na stałe. To niesamowita okazja. Szansa na wyrwanie się z tego grajdołka... Wyobraź sobie, że jeśli stąd grzecznie wyjadę, mam obiecaną nieskazitelną opinię z naszego drogiego liceum!

Jebany Dulski! – pomyślała równie wulgarnie, jak mówiła, i całym jej młodym ciałem zatrzęsł spazm buntu. Nie szanowała facetów, którzy poświęcają obiecujące uczuciowo znajomości dla nieskazitelnej opinii.

– Ale przecież ma pan pracę tutaj! Sam pan kiedyś mówił, że to raj dla syndyka, że specjalnie pan tu wrócił!

Westchnął i utkwiał wzrok w dywanie.

– Ale to niesamowita okazja, mówiłem ci już! Będę pracował w IPN-ie.

– Gdzie?

– W Instytucie Pamięci Narodowej. Złożyłem papiery, przeszedłem pozytywnie wstępną selekcję i będę ścigał zbrodnie przeciwko narodowi polskiemu, tak mi dopomóż Bóg...

Ryba wstała. Czuła straszliwy zawrót głowy. Być może był to tylko efekt wypitej żubrówki, ale jakoś nie chciało jej się w to wierzyć.